

J. B E R M A N .

T E K A L W O W S K A .

Sygn. 229/ 28.

Oryginał . str. 1-6 rkp., format:

150 x 300 mm., ( atrament)

k. 1- 4 ksero ., A4., j. polski.

TAŚMA FILMOWA  
NR. N- 0617.

ZESPÓŁ :

TEKA LWOWSKA .

ARCHIWUM ŻIH  
SYGNATURA :

229/28.

ZMIKROFILMOWANO  
DNIA :

7. 04. 1995 r.

JASTRZĘBSKI  
WOJCIECH

J. Berman, nauczyciel j. niemieckiego.

" Wycieczka do Unterbergen " Opis

wydarzenia w którym pracownicy Gminy

Żydowskiej , zostali zmuszeni do pracy

DATY SKRAJNE: w JON KIPUR.

X. 4941 r.

UKŁAD :

Tematyczny.

UWAGI :

Oryginał . str. 1-6 rkp., format: 150 x 300 mm

( atrament) j. polski.

k 1-4 ksero., A4., j. polski.

Wycieczka do Unterbergen 2551

Jeszcze kiedyś oddał miad golbec była  
peawa, jak o tem mówiliem już (z ustępie  
"Gross"), to co dopiero kierownikowi Wozak  
"Pracy (Arbeitsamt)" kraj. Kelerowi, który był  
pauzem życia i śmierci lwowskich Żydów.  
Ten to, wysoki, smudy, przycupiony, młody.  
28-letni mężczyzna pojawił się w  
samym Jerm-Kipnie w naszym biurze.  
Był w towarzystwie obokurwego Żyda  
domosiela. Ktoś zapytał, co tu  
robimy (oczywiście wprawy stajemy  
przekładacii, na baczność, i rozka-  
zać ulrac się. "Rasch! rasch!" doli  
się poploch, niektórzy poleją salwo-  
wać się niemiecką, jeszcze inni ko-  
rzystają z "pokłój" i rozstają z biurem,  
reszta sterowana przez samego  
Kelera i jego żydowski nacownicz  
z. Klettschicki (najbardziej uśmiechnięty  
z nich, niejaki; Kozowski) z walizką  
zj na dwóch cyratowych autach.  
nie więcej dokąd jedziemy i co to  
współko znaczy. Mamy jąbrać-  
gorsze przekonania i odpowiedzieć do  
tego niemi. Jedem patrzy na dru-  
giego badawczo; wstydzą się wzgo-  
słucha i swej bezradności. Ktoś  
miał odważać zapytać napra:  
dokąd? "Wicht so schlimm?"  
pade: odpowiedź raczej spokojna.  
"A więc może nie na rozstrzela-

\* ryci pracowaliśmy pod dachem  
 Palaka, kolejowego funkcjonariusza.  
 O dwunastej spotkaliśmy Józefa. Kuciem  
 się napięliśmy na framugę pokrytą grubą  
 warstwą kurzu (jest to ryci parawanika).  
 Podchodząc koleją. Sprawy nas nowe  
 pytania: „Do której górziny byliśmy tu  
 pracowali? Czy w okolicy jeziora Siś do  
 Lwowa? I jak? Pierwszą na piechotę?  
 Kiedy wyjechała swoje na ten temat  
 demony i sławy. Tędnio, godimny  
 się z losem, co by nie to by nie. Później  
 Pelski robotnik, który się zbliżył do  
 nas, opowiada, że poprzedniego dnia  
 siś to pracowali byli i że wieczorem  
 po nich przyjechało auto. Jest to  
 pierwszy błysk nadziei. Na nowo  
 zjawia się inżynier niemiecki.  
 (Okazało się: Justjak) Ktoś oświeca.  
 lub się do niego podejść. Miał wo-  
 kumienie dla naszych ról, de-  
 nie mógł nam pomóc, oświad-  
 czył nam natomiast, że a cały  
 pomocnik tego samego dnia wieczorem  
~~przejechał~~ wicimny do Lwowa. Po powrocie  
 wicimny do pracy z lepszym skutkiem a  
 nie upadł byś mniejszy nie odprawiamy  
 już tego nieznośnego męczennika. Wła-  
 le się 5 to, już minęła 5 to, nie nie  
 wskazywało na to, żeby paca miała  
 być porwana. Około ośmiej arcyta  
 grupa kolegów, która pracowała przy  
 kamieniu łomu. Długo i cicho:

nie? - to udajoua mysl wspanialich.  
 Lincarostka pidi. Konowski z kochankom-  
 ku zaprowadza sie do na dwie go-  
 diny i we Lwowie, praca przy jakiej  
 bradawie, wie wiekzymu, mu. Kto  
 pidi. Mijanny park Ludzanski.  
 A wiez jidnak ~~widok~~ rozj nas  
 gdies za miasto! Zblizawij sie  
 do ~~z~~ Kinnik. Tu - wedlug roinych  
 wersji - konstruowano niewiomych  
 architektury z ydow. Niepokoj stras-  
 sa. Warte sie wydawaj, spajawia  
 nabieraj kornadziejnego koloru  
 tepoty i wyznaczi. Niekanno  
 jidniemy do (Mittelberger / wioski  
 swabskiej) do pracy przy swy  
 dy. Jaz jestermy z Mittelberger. Ks-  
 kalcijemy z auta z porucicem  
 ulgi. A wiez nie: smierec! Jostajemy  
 sy w yce roinych ~~z~~ dorostaj-  
 cych wieucow i Polakow. Rozdzielaj  
 nas na grupy i przydzielaj kar-  
 kowi sobinek drogi do pracy.  
 Wbrewem z Taryj odgadzajemy kamin-  
 nie, ktore spieczila mazyra wyprosa  
 z goscina, niwelujemy poziom  
 goscina. Praca jest b. ciezka. W  
 skupaniu splywa mi z mata, po  
 2 godzinach jidnem cyebnie, wy-  
 serpany, nie mam wady wy-  
 kacz. Jostocy mnie skoczuj na-  
 woluj do wysitku, kaz jostoc pobar

235

myśli „Lajtant”. Ktoś je, poma namy  
 lubi je odtożbę Łopaty. Niemiec  
 sportowego ruchu, dopydywał się  
 o co chodzi i wpadł w furję:  
 „Jaki Lajtant? Co za Lajtant? Kto  
 to e dydyb? Ja nam fo-ko-ry  
 Lajtant!” No, to nie. Bieremy się  
 ruszamy do pracy. Dłystko nam  
 już jedno, jeszcze godzinę, czy dwie,  
 tylko do domu.  
 Około 7-mej zachwycamy się nie-  
 pokoi, że muszę być inny - jesieli  
 nie ludzimy mieli auto -  
 nie zdążyć na 8-ny do domu.  
 (Po osmej zaden dyd nie sinit  
 pokraci się na hlicy.) Ten argument  
 Niemca przekonał. Tamże ~~do~~ Laj-  
 tant, elbiok, paracii ~~z~~ ru-  
 szamy na Lwów. W drodze zabrywają  
 się przed naszą grupą cyzarowe auto:  
 „Und das die Juden aus Katerberg?”  
 - pyta (profes) wojskowy. „Jawohl!”  
 Już wskakujemy na cyzarówkę.  
 Jedziemy. No, panieci spada wystrzelił  
 z serca.  
 Po drodze przewymamy jeszcze perien  
 i. cydent. Wrasie postojni w Niemci:  
 „ach zamuoli się na wasze auto  
 dwóch Niemciów. Słujemy się na  
 to, nolens volens. Okazało się po-  
 chwili, że jeden był pijany. „Ja-  
 waj papiersa - zapadł pijany  
 korego? kolego?”, wie nam.

ruzj mi (i inuym) jak to ualezy  
 kolic factowo. Poproszajj ja s da-  
 chu, ze robij to s'isnie, bez porow-  
 nania lepiej ede mnie - man  
 fylko oglybiwosci, cy k'otys'z  
 nicz potkajib ty w tym tem-  
 je i w tej s'acunie pracowac  
 parz godzin. Wajhacniej daje nam  
 sy we znaki wysoki, cy Nicuie,  
 sukinsyn, k'otyz w nasimie nie  
 miaj do nas radego prawa. Prac-  
 wab su jako marynista przy  
 meclanicznej pracie. Jestaki  
 wab su czysto (e, wlasnej pilnosci)  
 ze swego wehikulu, podliegab do  
 pracujocz, grozit pysem, bescwab,  
 wykanowab z r'ocie djalstwy  
 Lutz. Da mnie znawit sy jony  
 xary, przysem najhacniej lyb  
 rozwsiecrowy sem, ze ulwalem do  
 pracy r'pawierki. Tak mi sy mia-  
 nowicie w wielu miejscach sba  
 rak naskok i naciskawie w  
~~niektorych~~ w tych miejscach to paty  
 spawialo mi silny l'el. Uchci-  
 tem sobie ulwje w tem r'pawier-  
 kawie i na to sulwawie absolut-  
 nie mi nie chciab pozwolic. Nepr'oi  
 mi jab moje stancowisko, za stary  
 mi na r'ce. Mlakem z amwienij,  
 pragnienij i glodu. (Pewnym wysekawie  
 niem byly kr'otka okresu czasu, a k'ot-

Ukrainiec zachęcał lic' najb'iejsz stopi-  
~~ożył wprost k'ów, czyżby nie był epik-~~  
 Yacui od parmyrzes ydow i t.d.  
 Holce tego, ie awantura przybierała po-  
 warne korucioy, a k'byś uwalis' my  
 auto. K'p'e k'asob Ukraincom u'p'sig'e.  
 Pijany wie a' d'ad'at na to ochot'zi  
 raczys, Wienecowi Stumacze, ie to  
 "Judeu" i, ie m'edewalis' my iel  
 "Kraci - mily ie nas w'oluo lic'.  
 K'p'e stauob w' nanej ob'acnie.

"Judeu, das'at nicht, das  
 sind br'iekr. Ukrainec sta-  
 wab sie uachaluy k'p'e musiat  
 gro'ic' revolucieiu, ale i to nie  
 p'ucyob. Korucioy Ukrainec  
 wskoczyb j'z'one kor na auto i  
 uderzyb k'ok'ep'is' k'amyel. K'p'e  
 musiat k'awerwac j'omocy j'z'z.  
 j'widraj' autob'izem Wienecow.  
 Lep'ieo k'p'e i'ob'niereiu u'da-  
 to sie uie'p'adliwie' o'u' Uka-  
 inecow t. j. z'at'rymac' iel j'ed  
 gro'ib' w'ycie' k'racu, a j'iski  
 nam auto sie dost'ac'ecnie nie  
 oddalito.

Pred 8- my byli'yomy w' domu  
 Linyerue wy'p'racu i j'ep'elieiu  
 z'p'ug'ieiu. K'ady z' nas jed'nak z'ic-  
 Diab, ie l'yt'a to uiewinua j'z'z'o-  
 la w' p'ro'u'aciu' i'um, co j'p'ro'u-  
 wali i'z'bi w' w'ie'nieuach lub o'boz-  
 rach pracy.

Ber.



Berman.

Wycieczka do Unterbergen.

Jeżeli każdy żołdak miał wobec Żyda prawo, jak o tem mówiłem już /w ustępie " Groza " / to cóż dopiero urzędnikowi, kierownikowi Urzędu pracy /Arbeitsamtu/ kap. Weberowi, który był panem życia i śmierci lwowskich Żydów. Ten to, wysoki, chudy, przygarbiony, może 28 - letni mężczyzna zjawił się w sam Jom Kipur w naszym biurze. Był w towarzystwie obskurnego Żyda donosiciela. Krótko zapytał co tu robimy / oczywiście wszyscy stoimy przestraszeni " na baczność " / i rozkazał ubrać się. Rasch, rasch! Robi się popłoch, niektórzy próbują salwować się ucieczką, jeszcze inni korzystają z protekcji i zostają w biurze, reszta sterwo ryzowana przez samego Webera i jego żydowskich naganiaczy z Arbeitsamtu / Najobrzydliwszy z nich niejaki Horszowski, znalazła się na dwóch ciężarowych autach. Nie wiemy dokąd jedziemy i co to wszystko znaczy. Mamy jak najgorsze przeczucia i odpowiedzi do tego miny. Jeden patrzy na drugiego badawczo, wstydząc się swego strachu i swojej bezradności. Ktoś miał odwagę zapytać szofera: dokąd? " Nicht so schlimm " pada odpowiedź raczej spokojna.

" A więc może nie na rozstrzelanie?" - to utajona myśl wszystkich. Ciężarówka pędzi. Horszowski z Arbeitsamtu zapewnia, że to na dwie godziny i we Lwowie, praca przy jakiejś budowie. Nie wierzymy mu. Auto pędzi. Mijamy park Lyczakowski. A więc wożą nas jednak gdzieś za miasto. Zbliżamy się do Winnik. Tu - według różnych wersji - rozstrzeliwano niewinnych, aresztowanych Żydów. Niepckój wzrasta, twarze się wydzuszają, spojrzenia nabierają beznadziejnego wyrazu tępoty i rezygnacji. Raskomo jedziemy do Unterbergen / wioski szwabskiej/

do pracy przy szosie. Oby! Już jesteśmy w Unterbergen. Zeskakujemy z auta z poczuciem ulgi. A więc nie śmierć! Dostajemy się w ręce różnych dozorujących Niemców i Polaków. Rozdzielają nas na grupy i przydzielają każdemu odcinek drogi do pracy. Uzbrojeni w łopaty odgarnijmy kamienie, które specjalna maszyna wypruwa /?/ z gościńca, niwelujemy poziom gościńca. Praca jest bardzo ciężka. Pot strugami spływa mi z czoła. Po 2 godzinach jestem zupełnie wyczerpany, nie mam władzy w rękach. Dozorcy mnie strofują, nawołują do wysiłku, raz jeszcze pokazują mi i innym jak to należy robić fachowo. Przyznaję im w duchu, że robią to świetnie, bez porównania lepiej odemnie - mam tylko wątpliwości czy któryś z nich potrafiłby w tym tempie i w tej formie pracować parę godzin.

Najbardziej daje nam się we znaki wysoki Niemiec, sukinsyn, zły, który właściwie nie miał do nas żadnego prawa. Pracował jako maszynista przy mechanicznej prasie, zeskakiwał często z własnej pilności ze swego wózeku, podbiegał do pracujących, groził prętem, beształ, szykanował z iscie djabełską furją. "a mnie rzucił się parę razy, przyczym najbardziej był rozwścieczony, tym, że ubrołem do pracy rękawiczki. Zdarł mi się mianowicie w wielu miejscach obu rąk naskórek i naciskanie w tych miejscach łopaty sprawiło mi silny ból. Chciałem sobie ulżyć tymi rękawiczkami i na to szubrawiec absolutnie mi nie chciał pozwolić. Ilekroć mijam moje stanowisko, patrzył mi na ręce. Mdląłem ze znużenia, pragnienia i głodu. / Pewnym wytechnieniem były krótkie okresy czasu, w których pracowaliśmy pod dozorem Polaka, b. kolejowego funkcjonariusza. Rzuciłem się nawpół żywy na trawę, pokrytą grubą warstwą kurzu, /jest 1 paździenika/. Podchodzą koledzy. Dręczy nas nowe pytanie: Do której godziny będziemy tu pracowali? Czy wrócimy jeszcze dziś

do Lwowa? I jak? Pieszko czy na piechotę? Każdy wyraża swoje na ten temat domysły i obawy. Trudno, godzimy się z losem, co będzie, to będzie. Polski robotnik, który się zbliżył do nas opowiada, że poprzedniego dnia też tu pracowali Żydzi i że wieczorem po nich przyjechało auto. Jest to pierwszy błysk nadziei. Narazie zjawia się inżynier niemiecki z pochodzenia Austriak. Ktoś ośmielił się do niego podejść. Miał zrozumienie dla naszych żalów, ale nie mógł nam pomóc, oświadczył nam natomiast, iż z całą pewnością tego samego dnia wieczorem wrócimy do Lwowa.

Po przerwie wróciliśmy do pracy z łapuzą otuchą, a że upał był mniejszy nie odczuwaliśmy już tego nieznośnego zmęczenia. Zbliżała się godzina piąta, minęła i nie nie wkuśywało na to, że praca miała być przerwana. Około szóstej wróciła grupa kolegów, która pracowała przy kamieniołomach. Ich decorem z rządził fajrant. Wobec tego paru naszych ludzi też odłożyło kopaty. Niemiec spostrzegł ruchawkę, dopytywał się co to chodzi i wpadł w furję: jaki fajrant, co za fajrant, kto to zarządził, ja wam pokażę fajrant! Nie to nie. Bierzerw się znowu do pracy. Wszystko nam już jedno, jeszcze godzina czy dwie byleby wrócić do domu. Około 7 - ej zaczynamy się niepokoić, że moglibyśmy - jeżeli nie będziemy mieli auta - nie zdążyć na dom. /Po ósmej żaden Żyd nie śniadł się pokazywał na ulicy/.

Ten argument przeczonał Niemiec. Zarządził fajrant, zbiórkę, parami wyszany na Lwów. W drodze zatrzymuje się przed naszą grupą ciężarowe auto. "Sind das das Juden aus Unterbergen?" - pyta wojskowy oficer. "Jawohl". Już wkuśujemy na ciężarówkę. Wciążemy. Kamień spada wszystkim z serca.

4

Na drodze przeżywany jeszcze pewien incydent. W czasie postoju w Winnikach gramolił się na nasze auto dwóch Ukraińców. Goździmy się na to molens wolens. Okazało się po chwili, że jeden był pijany. "Dawaj papierosa" - zagadnął pijany któregoś z kolegów. "Nie mam." Ukraińiec zaczął bić najbliższej stojących częstując ich epitetami od parazytów Żydów i.t.d. Wobec tego, że awantura przybrała poważne rozmiary zatrzymaliśmy auto. Szofer kazał Ukraińcom wysiąść. Pijany nie zdradzał na to ochoty i zaczął Niemcowi tłumaczyć, że to Juden i że mordowali ich braci - niby, że nas wolno bić.

Szofer stanął w naszej obronie. Juden, das tut nichts, das sind Arbeiter. Ukraińiec stawał się nachalny. Szofer musiał grozić rewolwerem, ale i to nie pomogło. Rozwścieczony Ukraińiec wskoczył jeszcze raz na auto i uderzył któregoś z naszych. Szofer musiał zawezwać pomocy przejeżdżających autobusem Niemców. Dopiero trzem żołnierzom udało się unieszkodliwić obu Ukraińców tj. zatrzymać ich pod groźbą użycia broni, póki nasze auto dostatecznie się nie oddaliło.

Przed ósmą byliśmy w domu, fizycznie wyczerpani i psychicznie zgnębieni. Każdy z nas jednak wiedział, że była to niewinna przygoda w porównaniu z tym, co przeżywali Żydzi w więzieniach lub obozach pracy.

I. Ber..